

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Rodzina indyjska przed wigwamem na wystawie w St. Louis.

Wystawa powszechna w St. Louis.

II.

Już posłałem do Wieczorów ogólny opis tej wystawy *), śpieszę teraz przytoczyć znowu kilka szczegółów o niej.

Na wstępie zaznaczyć muszę, że dotąd przynaj-

mniej nie wzbudza takiego zajęcia, jak wystawa w Chicago albo w Paryżu. Czy zbyt częste powtarzanie tych wystaw, czy wojna, czy warunki miejscowe, dość, że liczba przyjezdnych, zwłaszcza ze starożytności, nie jest bardzo wielka.

Zdaje się, że ważnym czynnikiem odstręczającym podróżnych, to niesłychana drożyzna i obfitość złodziei, którym policja miejscowa, bardzo nieliczna, pozwala operować po hotelach i kieszeniach z dziwną względnością.

*) Patrz Nr. 23

A jednak wystawa warta widzenia i można się z niej wiele nauczyć. Dział pedagogiczny: szkół, gier, zabaw, higieny młodzieży i t. p. nader zajmujący.

Gmach różnych gałęzi przemysłu (przedstawiony na rycinie naszej) 366 metrów szeroki i 20 metrów wysoki, z piękną kolumnadą w stylu jońskim, dalej pałac Sztuk Pięknych, wspaniałe; oddzielne państwa wzniosły też dla siebie charakterystyczne i okazałe budynki. Pawilon niemiecki wyobraża zamek w Charlottenburgu pod Berlinem, angielski — londyński pałac Kensington, austriacki — pałacyk w stylu secesyj wiedeńskiej, — w nim mieści się także oddział sztuki polskiej.

Zbiorem „Dziwów świata” jest tak zwane Corso, gdzie obok Alp Tyrolskich znajdują się wsie: indyjska, chińska, szwedzka, ulica w Kairze, Konstantynopolu.

W innym miejscu urządzono olbrzymi basen, w którym każdy będzie się mógł kąpać według upodobania, a w czasie tym bielizna jego będzie uprana i uprasowana, ubranie zaś oczyszczone i odnowione.

W pobliżu basenu znajduje się restauracja, której ściany są szklane i podwójne; między ścianami jest woda, w której pływają ryby i pną się rośliny podwodne. Sprawia to wrażenie niezwykle, jakby się przebywało na dnie morza.

W innym miejscu wznosi się ogromna arena, na której przedstawiają prawdziwi Boerzy scenę z ostatniej wojny transwaalskiej, a mianowicie bitwę pod Colenso i ostatnią walkę generała Cronje’go pod Paardeburgiem. Co najsmutniejsza, że biedny generał Cronje, który po powrocie z wyspy św. Heleny nie mając żadnych środków do życia w swym rodzinnym kraju, zgodził się podobno brać udział w tych przedstawieniach i pojechał do St. Louis.

Jedną z osobliwości wystawy są także koczowiska rozmaitych plemion indyjskich. Jedno z nich, Indian ze słynnego niegdyś plemienia Siuksów, przedstawia załączona rycina. Przywieziono także z wysp Filipińskich kilka rodzin dzikiego plemienia „Igorotków.” Po przybyciu na wystawę, zażądali oni psiego mięsa, jako ulubionego pokarmu, którym się raczą w domu.

Dozorca chciał uczynić zadość ich żądaniu, ale oparło się temu Towarzystwo Opieki nad zwierzętami, i biedni Igorotkowie nie mogli skosztować psów amerykańskich.

Na tej garstce wiadomości kończę list dzisiejszy.

PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Bolko wyszedł z izby, Frąc za nim i obaj wodzic zaczęli oczami po drodze, gdzie, jak poprzednio, stał gospodarz zagrody wraz z wszystkimi domownikami, którzy z różnych kątów przyciągnęli na wieść, że sam młody królewicz we własnej osobie nawiedził dom biednego włościanina.

— Gdzie ten człowiek, który tu był przed chwilą? — zawołał Bolko, napróżno upatrując wśród zebranych Stonoga.

— Stoi tu chyba — odparł wieśniak i sam obejrzał się na wsze strony.

— Nie widzę go, a chciałbym słów kilka z nim pomówić.

— Pójdę zawołać — i gospodarz ruszył się raźnie, to zaglądając do stajni, to do obórki, to wreszcie do ogródka.

Szukanie trwało dobrą chwilę, wreszcie wieśniak powrócił i ze zdumieniem kiwał głową.

— Przecież nie zapadł się w ziemię, ani też na skrzydłach nie uleciał w powietrze, a jednak niema go nigdzie.

— Szukać go, całą wieś przetrząsnąć — huknął Bolko takim głosem, że nikt nie śmiałyby mu się oprzeć w tej chwili.

Wszyscy się rozbiegli, przetrząsnęli wszystkie kąty, ale Stonoga nie było nigdzie.

— A to łotr! — mruknął królewicz, porozumiewając zwracając się do Frąca. — Przeczuli, co go czeka i prysnął. Gdybym miał czas, to odszukałbym go, choćby się nawet skrył pod ziemię. Ale teraz tem mniej ani chwili nie mamy do stracenia, na koń zatem i w drogę! Wy zaś — dodał, zwracając się do wszystkich obecnych — raz jeszcze spróbujcie odnaleźć zbiega, a jeśli znajdziecie, to przytrzymajcie go aż do mojego powrotu, hojna, prawdziwie królewska nagroda was nie ominie.

Królewicz z Frącem, zegnani krzyżami na drogę, wyjechali na gościniec, a gospodarz i wszyscy domownicy, zachęceni obietnicą, rozbiegli się, ażeby szukać Stonoga, który spostrzegłszy, że nikogo niema na podwórzu, zwolna wychylać zaczął głowę ze studni, stojącej na samym środku podwórza. Do studni zagłędano przecież, ale przebiegły człowiek w odpowiedniej chwili zanurzył się i teraz wychodził, ociekając wodą.

— Br! zimno mi, drzę na całym ciele — mówił Stonóg do siebie, strzepując nasiąknięte ubranie, — lepsze to jednak, niż dostać się w ręce Frąca i zacieklego królewicza. Sieciech nie pożałuje sakwy gdy mu opowiem, jakich to wybiegów musiałem się uchwycić, ażeby przynieść wieść o mądrym Bolku. Nie będę tu jednak popasał, zanadto niebezpiecznie, przycupnę oto w tem życie, które rośnie opodal, a potem, gdy się trochę uspokoi, miedzami przebiegnę do lasu, niechaj mnie wówczas gonią.

W chwili, gdy królewicz z wiernym Frącem pułkali do wrót zamku kruszwickiego, w tej samej chwili do komnat wojewody Sieciecha dobijał się Stonóg. Wojewoda zły, że mu sen po uciążliwej podróży przerwano, wpadł z góry na zausznika swojego.



— Miałeś też z czem przybywać, głupcze — krzyknął — wielka rzecz, że królewicz wybrał się na łowy. Młody jest, nudzi się, zresztą królowa złąje go za to i na tem koniec.

Stonóg uśmiechnął się chytrze.

— Gdyby to były łowy zwykłe, nie budziłbym waszej miłości, ale królewicz Bolko pędził do Kruszwicy.

— I cóż stąd?

— Co stąd? Jak to dziwne, że wasza miłość nie chce tego zrozumieć.

— Wara mi od tej poufałości! — nie krzyknął już, ale ryknął Sieciech. — Łotrze jakiś, powinnością twoją jest słuchać rozkazów, ale rad udzielać mogą mi inni ludzie, nie takie psy, jakim ty jesteś.

Stonóg schylił się nisko, ale w oczach złowrogię pojawiły mu się błyski.

— Milczę i odchodzę, skoro nie mam szczęścia dzisiaj być wysłuchanym przez waszą miłość.

Rzeczywiście, zausznik cofać się zaczął ku drzwiom, ale Sieciech, któremu widocznie jakaś myśl błysnęła przez głowę, przystanął przed nim i zawołał:

— Dokończ! Co chciałeś powiedzieć?

— Powiem zatem krótko: Królewicz Bolko dowiedział się o zamknięciu w lochach kruszwickich Maćka, Radonia i innych.

— To mało, tem mnie nie zastraszyś.

— Królewicz także się dowiedział, że pomiędzy zamkniętymi znajduje się brat jego, Zbyszko.

Sieciech przyskoczył przerażony.

— Milcz! ściany mają uszy.

Stonóg obejrzał się trwożnie i dokończył już szeptem:

— Królewicz pragnie uratować Zbigniewa, przywieźć go do ojca.

Sieciech wielkimi krokami mierzyć zaczął komnatę, wreszcie znów przystanął przed Stonogiem.

— Jak myślisz? Kto mógł donieść o tem królewiczowi.

Stonóg wzruszył ramionami:

— Albo ja wiem... może Wincz, może ten mały garbusek.

— Jaki garbusek?

— Wasza miłość musiał dostrzedz chłopca bardzo brzydkiego, raczej do małpy, niż do człowieka podobnego. Otóż ten chłopiec przywieziony został z Mielżyna z Maćkiem, którego jest wychowawcem. Puszczono go na wolność, nie przypuszczając, ażeby w takim młodem ciele gnieździła się zmija.

— Nie zauważyłem takiego stworzenia — pogardliwie rzucił wojewoda, ale odtąd przystanął i uważnie już słuchał mowy powiernika swojego, a Stonóg nie czekał na zachętę.

— Od razu poznałem, że temu chłopcu bystrość i przebiegłość patrzy z oczu, pilnowałem go też uważnie, zwłaszcza od chwili, gdy królewicz dziwną czułość zaczął okazywać temu przybłądzie.

— Jakto? „przybłądzie” rzekłeś...

— I nie cofam słów. Ten Kruszynka, bo tak go pono zowią, znaleziony został na polu i przytulony przez Maćka, a kim byli rodzice jego, nie wiadomo.

— W takim razie, jako z dzieckiem gminu załatwimy się z nim krótko. W lochach kruszwickich znajdzie się jeszcze dosyć miejsca dla takich ptaszków. Czy jednak pewny jesteś, że Bolko z ust owego Kruszynki dowiedział się o Zbigniewie? A jeśli niewinny?

Stonóg zaśmiał się szyderczo i rzekł zjadliwie:

— Wasza miłość nie przywykł dotąd robić ceregieli z ważniejszymi osobami, cóż dopiero z takim chłopakiem!

W innych razach może wojewoda byłby skarcił zuchwalca, który odważył się czynić podobne uwagi, ale teraz zanadto był zajęty Zbigniewem i tajemniczym wyjazdem po nocy królewicza, ażeby się miał zastanawiać nad usłyszanymi słowami.

Nastąpiła chwila milczenia. Wojewoda podszedł do okna, wpatrywał się w dal i rozmyślał, co czynić. Wreszcie odwrócił się do Stonoga:

— Biegnij natychmiast i powiedz straży, że kazałem zadąć w rogi na znak przygotowania do podróży.

— Tak wcześnie? Król chory, królowa się rozgniewa...

— Nie twoja w tem głowa. Judycie wylóma czę łatwo, a ten niedołężny starzec zrobi co ona mu przykaże. Biegnij żywo!

Stonóg jak kula zbiegł po schodach i nie minęło kilka pacierzy, gdy zagrzmiwały rogi i kto żyw zerwał się z posłania, zdziwiony niepomiernie. Po męczącej podróży wczorajszej wypoczynek należał się wszystkim, klnąc też na czem świat stoi, orszak monarszy zwolna i ociężale przygotowywać się począł do dalszej drogi.

Wśród mieszkańców Trzemeszna głosy rogów wywołały z początku przestrasz, a później zdziwienie.

— Jakże to? — mówiono — nawet nie pomodliwszy się u grobu prababki, dwór rusza dalej? W tem coś się kryje. Może wojna, może dano znać o nowym napadzie ze strony przebiegłych sąsiadów niemieckich?

Niemniej od mieszkańców Trzemeszna zdumiony był król, ale Judyta, wcześniej uprzedzona przez wojewodę, umiała uspić lęk monarszy. Wylómaczono Władysławowi Hermanowi, że tylko względ na jego zdrowie i chęć szybszego przybycia do Gniezna wywołała potrzebę wczesnego alarmu.

— Odpoczniemy w Gnieźnie — rzekła niezwykle czule i sama pilnowała, ażeby dostojnemu małżonkowi nie zbywało na żadnych wygodach.

Wojewoda kręcił się, zabiegał, sam osobiście pędził służbę, sam zajął się ułożeniem puszystych poduszek, na których król siedzieć mógł wygodnie, a kiedy nie zachodziły już żadne przeszkody, przywołać sobie kazał Stonoga.

— Pozostaniesz tutaj i czekać będziesz na powrót Bolka, gdy zaś przyjedzie, powiesz mu, że wyruszyliśmy dalej.

Stonóg drząc zaczął na całym ciele, w końcu wyjąkał:

— Tego nie zrobię, za nic na świecie nie zrobię. Znam królewicza, on mnie rozsiecze, domyśliwszy się, że moja to sprawka.

Sieciech parsknął śmiechem, a obrzydzenie malowało się na jego twarzy, gdy patrzył na tego tehrza.

— A więc zwolnię cię od tego obowiązku, pozostać jednakże musisz w Trzemesznie i pilnie baczyc na wszystkie kroki Bolka. Skoro zaś królewicz, prawdopodobnie bardzo zdziwiony i wystraszony uda się za nami, ty zawrócisz i udasz się znów do Kruszwicy. Winczowi oddasz list ode mnie, a od siebie dodasz, że wymagam tego, ażeby ten twój Kruszynka został wtrącony z innymi do lochu.

— Stanie się według woli waszej — zawołał Stonóg, ucieszony, że nie będzie potrzebował narażać się królewiczowi.

Zausznik Sieciecha nie opuścił jeszcze komnaty, na co też wojewoda zwrócił uwagę:

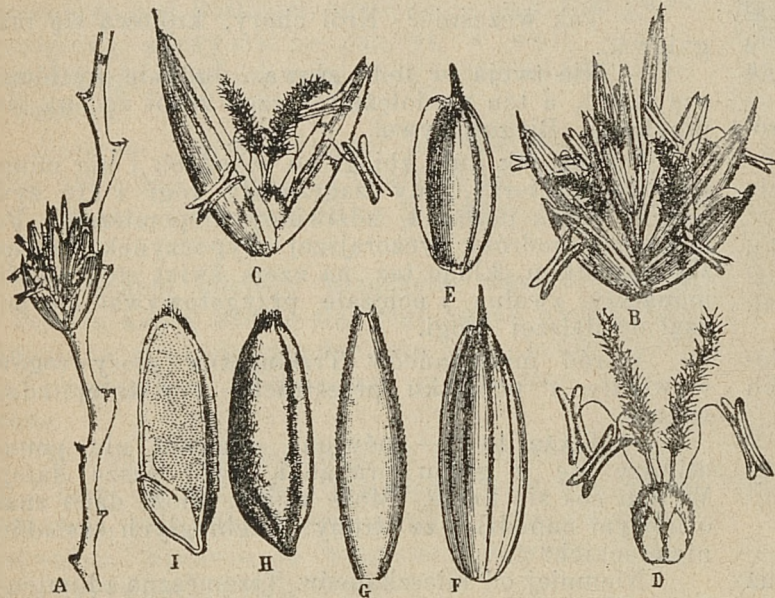
— Czego stoisz?

— Chciałem dodać, że z królewiczem jechał tak.

ze Frąc z Pólwicy. Co z nim się stanie, bo i on zapewne wtajemniczony jest we wszystko?

— Przecież nie mogę go wyrwać z pod boku Bolka! — krzyknął Sieciech. — Poczekam trochę, zobaczę, jakie zamiary ma królewicz, a gdyby okazało się, że i Frąc spiskuje na korzyść Zbigniewa, to wtedy będę wiedział, co uczynić dalej.

(d. c. n.)



Kwiat pszenicy: A. osadka kłosa, z której oderwano wszystkie kłoski, z wyjątkiem jednego, B. oddzielny kłosek C. oddzielny kwiat razem z plewkami, D. bez plewek, E. — plewa, F.—G. — plewki, H. ziarno całkowite, I — przekrojone.

B. Dyakowski.

NASZE ROŚLINY UPRAWNE.

(Dalszy ciąg).

Ścianki źdźbeł zawierają nadzwyczaj mocne sprężyste włókna, które pozwalają im trzymać się prosto i sztywno pomimo swej stosunkowo znacznej wysokości i cienkości, jak również znosić dość silne wiatry i deszcze bez złamania się, a nawet zgięcia. Któż nie widział, jak pięknie faluje i pochyla się łan zbożowy, kołysany wiatrem, przyczem każde źdźbło przybiera znów postawę wzniesioną, skoro tylko wiatr przestanie je pochylać?

Wytrzymałość źdźbeł zbożowych jest tem bardziej uderzająca, że jednocześnie odznaczają się one bardzo wysmukłym kształtem. Dosięgają one nieraz wzrostu człowieka, a jakie są przytem cienie! Wysmukłość ich postaci rzuca się szczególnie w oczy, gdy porównamy je z budowlami, wzniesionymi ręką ludzką. Budowle te, jako górujące nad innymi, narażone są na silne wiatry, muszą więc być bardzo mocne i sprężyste, podawać się prądowi wiatru, ale nie łamać się przytem. Człowiek potrafi nadać im potrzebną moc, ale nie mógł zachować tak smukłego kształtu, jaki mają źdźbła zbóż. Weźmy np. najwyższą z ludzkich budowli wieżę Eifla, mającą 300 metrów, to jest przeszło ćwierć wiorsty wysokości. Ze-

by mogła ona utrzymać się i znieść siłę wiatrów, człowiek musiał ją zrobić tak szeroką, iż w połowie swej wysokości ma ona jeszcze 30 metrów średnicy, to jest $\frac{1}{10}$ całej swej wysokości, do dołu rozszerza się ogromnie szybko i tylko w górze jest nieco smuklejsza. Tymczasem źdźbło, osiągnące wzrostu człowieka i mające koło 175 centymetrów, w najgrubszym miejscu posiada zaledwie pół centymetra średnicy, czyli tylko $\frac{1}{350}$ część swej wysokości. Nawet stosunkowo wysmukły i wysoki kmin fabryczny jeszcze będzie grubszy w porównaniu z takim źdźbłem. Gdybyśmy go zmniejszyli do wymiarów źdźbła, wydałby się on przy nim niezgrabnym grubasem, a wieża Eifla zmniejszona również do tej wysokości — pękata i przysadzista.

Źdźbła zbóż górują nad wysokimi budowlami jeszcze jedną właściwością. Gdy zdarzy się silniejszy wicher lub wielka ulewa, która położy pokotem cały łan, to zboże może jeszcze powstać, a będzie to zawdzięczało nie tyle mocy i giętkości swych włókien, ile sile żywotnych zdolności do wzrastania.

Gdy źdźbło zboża położy się na ziemi, część jego spodnia zaczyna rosnąć szybciej, niż wierzchnia, a wskutek tego następuje zagięcie kolankowate do góry i źdźbło przybiera najpierw kierunek ukośny, a następnie pionowy. Gdy przybiera on już tę pozycję, wówczas obie jego części rosną już jednakowo i źdźbło wydłuża się prawidłowo ku górze. Pozostać w ten sposób może jedynie źdźbło pory, póki jest ono jeszcze młode i rośnie; gdy dorośnie i stwardnieje zupełnie na słomę, dalszy wzrost ustaje i w razie położenia przez deszcz, zboże nie będzie już mogło powstać więcej.

Liście zbóż składają się z rozciętej pochwy, obejmującej łodygę wokół i z długiej wąskiej blaszki, odstającej z boku. W miejscu, gdzie blaszka wychodzi z pochwy, znajduje się małe jęczyczek, skierowany ku dołowi. Drobnym ten i niepozorny listeczek posiada jednak ważne znaczenie, służy on bowiem do odprowadzania na zewnątrz wody deszczowej, ściekającej z blaszki. Bez tego jęczyczka woda ta dostawałaby się w głąb pochwy, a gromadząc się tam w większej ilości, mogłaby łatwo wywołać gnienie źdźbła. Jęczyczek jest więc rodzajem rynny, zabezpieczającej zboże od nadmiaru wilgoci.

Chcąc zapoznać się z kwiatami zbóż, najlepiej będzie rozpatrzyć kwiat jakiego jednego zboża, np. pszenicy (ryc. str. 252), w głównych bowiem zarysach budowa kwiatów wszystkich zbóż jest zupełnie jednakowa, a różnią się one jedynie drugorzędnymi szczegółami. U żadnego z nich przytem nie znajdziemy barwnych lub wonięjących płatków, z którymi wiąże się pojęcie kwiatu. Tutaj zamiast nich znajdują się kruche, szorstkie i twarde plewy, osłaniające wewnętrzne części kwiatu.

Zboże nie potrzebuje wcale barwnych i wonnych płatków. U innych roślin płatki takie służą do przynęcania owadów, które siadają na kwiatkach, a uwalniasz się pyłkiem, sypiącym się z ich pylników, przenoszą go następnie na słupki innych okazów. Zboża zaś należą do roślin wiatropylnych, to jest takich, u których pyłek roznosi wiatr, nie oglądający się na to, czy ma przed sobą barwny i wonny kwiat, czy też niepozorny i bez zapachu. Mogą więc zboża obejść się najdoskonalej bez tych ozdób, nieodzownie potrzebnych innym roślinom.

Zato szorstkie plewki są dla nich wielce pożyteczne, utrudniają one bowiem dostęp do kwiatu, a potem do ziarna różnym bezskrzydłym szkodnikom owadzim, zwłaszcza delikatnym gąsienicom o miękkiej skórze.

Zapoznajmy się teraz z budową kwiatu pszenicy. Jeżeli weźmiemy w rękę kłos pszenicy kwitnącej i zaczniemy rozsuwać składające go części, to przekonamy się, że jest on utworzony z większej liczby małych kłosek, z których każdy przedstawia zbiór 5-iu kwiatów, (załącz. rycina B) otulonych dwoma błonkowatymi plewkami. Każdy z takich kwiatków (C) zamknięty jest również w dwu mniejszych plewkach, a składa się (D) z dwu łusek małych, 3 pręcików i jednego słupka o dwu piórkowatych znamionach. Taką samą budowę posiadają kwiaty innych zbóż, tylko bywa ich odmienna ilość w każdym oddzielnym kłosku, kłoski te bywają inaczej ułożone niż w pszenicy, a plewy i plewki mogą być rozmaite, szersze lub węższe, z ościami lub bez ości i t. p.

swe przeznaczenie i obecnie są już niepotrzebne dla rośliny.

Zato dolna szeroka część słupka czyli zalążnia po zapyleniu zaczyna rosnąć dalej i powiększać się. Zabezpieczona sztywnymi i szorstkimi plewkami oraz plewkami, które ją otulają szczerlnie, rośnie ona coraz dalej, aż wreszcie dojrzeje i staje się ziarnem.

Ta chwila jest kresem istnienia zboża. Ludzie z upragnieniem wyczekują jej, zjawiają się wnet z sierpami lub kosami, ścinają źdźbła, a ziarna zabierają w części na pokarm dla siebie, w części wrzucają napowrót w ziemię, aby odnowić zboże na rok następny. Wesola to i szczęśliwa chwila — chwila żniw, zwłaszcza dla biedaków, którym przedówek dał się już porządnie we znaki i którzy zapoznali się może z chlebem, mającym zamiast mleka lub cukru



Wystawa w St. Louis: Pawilon różnych gałęzi przemysłu.

Przed zakwitnięciem każdy kwiatek zamknięty jest w swoich plewkach, a wszystkie kwiaty jednego kłosa otulone jeszcze szczerlnie jego plewkami.

Skoro nadchodzi czas kwitnięcia i pyłek jest już zupełnie dojrzały, natenczas otwierają się najpierw plewy każdego kłosa, i potem plewki oddzielnych kwiatków, a jednocześnie pręciki rosną i wydłużają się bardzo szybko, wysuwają się z kwiatu i zwieszają się na dół pod ciężarem znajdujących się na ich końcu pylników. Pylniki pękają i wysypuje się z nich drobniutki pyłek, który wiatr porywa natychmiast, niesie dalej i osypuje nim również wystające z kłosów piórkowate znamiona słupków.

Kwitnięcie zbóż odbywa się w czerwcu wczesnym rankiem, kiedy są jeszcze resztki nocnej wilgoci w powietrzu, a nad łanem wieje łagodny wietrzyk, najodpowiedniejszy do roznoszenia pyłku. Wydzielanie się pyłku trwa krótko, kwadrans lub niewiele co dłużej. Poczem plewy się zamykają, a puste pylniki wiszą jeszcze jakiś czas, następnie zaś odrywają się i opadają na ziemię: spełniły one już

domieszkę kory albo ziół suszonych. Teraz zaś będą mogli znów skosztować prawdziwego świeżego chleba.

Pocieszcie się, dzieci, chleb będzie, chleb nowy,
Nasz chlebek kochany, dar Boży!

(d c. n.)

Chęć, potrzeba, wola i mus.

(B A J K A).

Rzeczka wylała i zerwała most.

Mała, zręczna i wdzięczna, w lekkiej, czystej sukience zbliżała się drogą nad wodę Chęć. Patrzy, mostu niema. Siadła na brzegu, zanurzyła nóżki w wodę i jak zwykle poczęła marzyć.

Zdaje jej się, że widzi, jak wóz nadjeżdża, ona wskakuje na niego, przejeżdża rzeczka, to znów na przeciwległym brzegu łamie się drzewo, spada na

rzeczkę i tworzy naturalny most, ona przechodzi go lekką stopą... Przez chwilę zdaje jej się nawet, że ma skrzydełka u ramion i rzeczkę przefruwa.

Nagle szorstki, gniewny głos zbudził ją z marzeń. To posępna *Potrzeba* przyszła nad rzeczkę, chcąc przejść przez most, i poczęła opowiadać *Chęci* jak jej pilno, jakie ma straty z powodu przeszkody w podróży, narzekała na nieporządku, wołała ludzi, skarżyła się, żądała pomocy.

W tem na drodze ukazała się wędrownica, *Wola*. Kobieta poważna, cicha. Nie rozpoczynała rozmowy, lecz wnet poczęła badać brzegi rzeki, resztki mostu. Znalazła tykę, wymierzyła głębokość, szerokość i bystrość rzeczki; już podkasała suknię, aby przeskoczyć przeszkodę, gdy zjawił się nowy podróżnik.

Był to *Mus*, który śpieszył, jak ten, co niema czasu do namysłu. Spostrzegłszy, że mostu niema, porwał *Chęć*, *Potrzebę* i *Wolę*, i, pomimo ich przestachu i krzyku, przebiegł rzeczkę, aż się woda spieniła.

Gdy trzy wędrownice znalazły się na drugim brzegu rzeki i poczęły doprowadzać do porządku zmoczone sukienki, *Mus* był już daleko... Co trzy jego towarzyszkę uważały za rzecz trudną i niewykonalną, *Mus* łatwo przeprowadził.

Wieczne dzwony.

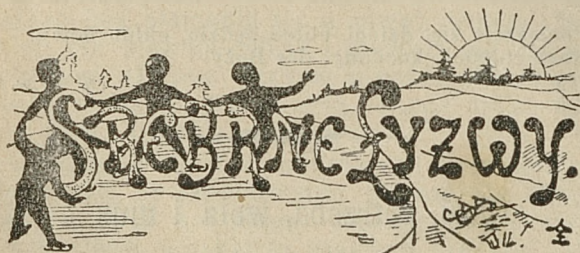
Wieczne dzwony grają,
Skończony pracy dzień;
Ptaki do gniazd wracają,
Na ziemię spada cień.

Jak miło po robocie,
Otarłszy znojną skroń.
W zachodu ciepłym złocie,
Do modlitw złożyć dłoń!

Niech tam, gdzie mleczna droga
Jaśniejce pośród gwiazd,
Popłynie duch do Boga,
Zmyć łzami grzechu chwast!

Promienie słońca gasną,
Koi się ziemia snem,
A w sercu jasno, jasno,
Bo spokój Boży w niem...

Or-ot.



(Dokończenie).

Pewnego styczniowego dnia Laurenty Bockman wraz z ojcem przyszedł odwiedzić Brinkerów.

Rafał, który już od tygodnia pracował przy tamach, odpoczywał teraz po dniu pracy; Hania nakładała tytuły do ojcowskiej fajki, Janek uczył się zadań lekcyi, pani Brinkerowa krzątała się około gospodarstwa.

Pani domu postawiła uprzejmie przed kochanymi gośćmi szklanki z herbatą. Hania doznała wielkiego zawodu na widok syna doktora. Wyobrażała sobie, że Laurenty musi mieć twarz tragiczną jak te, które widziała w jednej książce Ańdżi Bowman. Tymczasem nic w nim nie znalazła smutnego, rozpaczliwego; przeciwnie, był uśmiechnięty, uprzejmy, nawet zdrowo wyglądał!

Głos jego drżał nieco, kiedy witał się z Rafałem Brinkerem, ale i to prędko minęło. Ani razu nie wznosił ręk do niebu, jak to widziała na obrazku, nie przewracał oczami, nie wzdychał. Rafał Brinker nie byłby go poznał. Bo też dziesięć lat zmieniła człowieka; Laurenty, ze szczupłego chłopca stał się barczystym mężczyzną. Janek myślał jedynie o szczęściu Tomasza Higgsa! Miał tak mądrego, sławnego ojca. Jakże wspaniałą zdobyczą ludzką jest wiedza. Jakże są szczęśliwi ci, którzy tej wiedzy życie swoje poświęć mogą.

Twarz doktora była teraz rozjaśniona, połowa zmarszczek znikła.

— Szczęśliwy jestem, nieprawdaż Brinkerze — mówił śmiejąc się głośno. — Mój syn sprzedaje fabrykę i wraca do Amsterdamu. Tu otworzy znowu swoje warsztaty.

Janek drgnął cały.

— Więc pan Laurenty nie będzie już panu pomagał? — zapytał.

— O nie! pójdzie dalej tą drogą, na którą wstąpił w Anglii.

Janek zdziwił się bardzo.

— Cóż to — zagadnął doktor — dziwi cię, że mój syn wziął się do przemysłu?

— Nie, panie, ale...

— Ale co?

— Medycyna jest tak piękną nauką... tak pożyteczną. Być tak sławnym jak pan chirurgiem — dodał z zapałem — wracać zdrowie, śmierci wydzierać ludzi — coż piękniejszego być może na świecie?

Doktor patrzył na chłopca badawczo. Janek zaczerwienił się po uszy.

— Zawód doktora jest ciężki i przykry, mój chłopcze; trzeba mieć niesłychaną cierpliwość, poświęcić każdą chwilę życia swemu zawodowi, a odpowiedzialność ciąży nad nami ogromna.

— Wiem o tem — odparł Janek. — Ach! panie, ciężki to zawód, lecz ileż daje rozkoszy... Przepraszam pana doktora, że tak śmiało mówię — dodał po chwili.

Kiedy Janek umilkł, doktor odwrócił się do niego plecami i rzekł coś półgłosem do syna. Pani Brinkerowa jeszcze nigdy nie słyszała swego chłopca, mówiącego z takim zapałem i dawała mu znaki, aby nie męczył gości swemi marzeniami.

Wtem doktor zadał mu pytanie:

— Ile masz lat, Janku?

— Piętnaście.

— Więc chciałbyś zostać lekarzem?

— O! tak, tak, panie doktorze.

— Za pozwoleniem rodziców możesz w przyszłości zostać moim uczniem i pomocnikiem.

— Ach... panie...

Tyle tylko zdołał wyjąkać uszczęśliwiony chłopak. — Nie zrażą cię trudności zadania, długie lata nauki — nie cofniesz się w chwili, w której widzieć już w tobie będę mojego następcę? — pytał doktor.

— Nie, o! nie, panie doktorze.

— Mój Janek jest bardzo stały i zawsze dotrzyma, co mówi — zaczęła pani Brinkerowa — jemu wierzyć można. I zdolny jest, już mu łacina do głowy wchodzi. Doktor uśmiechnął się.

— Zatem rzecz ułożona, jeśli twój ojciec nie ma nic przeciw temu.

— Panie doktorze, ja zawsze dumny byłem z mego syna — odparł Raff. — Ja z chęcią wszelkie koszta poniosę...

— Ba.. ba! — przerwał doktor. — Nie mówmy o kosztach. To ja teraz będę miał dwóch synów, nieprawdaż, Laurenty? Jeden będzie przemysłowcem, a drugi chirurgiem. Będę najszcześniejszym człowiekiem w Holandyi. Jutro rano przyjedziesz do mnie, Janku, i wszystko dokładnie ułożymy.

Janek, gdyby śmiał, byłby chętnie uściskał doktora. Ale doktor znał dusze ludzkie i zrozumiał milczenie i wzruszenie Janka.

— Rafale — odezwał się do Brinkera doktor — mój syn potrzebować będzie zaufanego człowieka, któryby doglądał robotników, pilnował towaru... Zresztą, rozmów że się z nim, Laurenty — dodał zwracając się do syna.

Rafał i Laurenty porozumieli się szybko.

A Janek wciąż milczał; wpatrywał się tylko z głęboką, wdzięczną miłością w twarz doktora.

Hania zrozumiała w tej chwili, że wielka zmiana zachodzi w jej życiu. I ona także weźmie się do nauki, nie będzie chciała wstydu przynieść uczonemu bratu.

Lecz późno już jest. Doktor z synem odchodzą. Pani Brinkerowa żegna ich najpiękniejszym ukłonem.

Zakończenie.

Nasze opowiadanie dobiega do końca. Czas mija w Holandyi równie szybko, jak gdzieindziej; pod tym względem niema wyjątku dla żadnej części kuli ziemskiej.

Czas wielkie zmiany przyniósł rodzinie Brinkerów. Janek doszedł do celu z mężstwem, wytrwałością, których się po nim spodziewać było można. Jest też znanym już w Amsterdamie lekarzem. Andzia Bowman nosi obecnie nazwisko Brinkerów i jest zawsze miłą, wesołą, dobrą wrózką dla męża swego, Janka.

Piotr van Holp ożenił się także. Zawsze miał wielką sympatyę do Hildy van Gleck i z nią razem idzie teraz przez życie.

Lambert, Ludwik zadowoleni są ze swego losu; najgorzej dzieje się panu Karolowi. Rodzice jego stracili majątek, więc musiał przyjąć miejsce buchaltera u Laurentego Bockmana, nad czem niezmiernie cierpi jego pycha.

Z całej grupy naszych znajomych jeden Jakób Poot nie żyje; ale pamiętają o nim wszyscy znajomi, bo wrył się w ich pamięć swoją serdeczną dobrocią.

Pyszna i zarozumiała Regina wyszła za mąż za bogatego ale obojętnego jej człowieka i nie znalazła w tem małżeństwie szczęścia.

Marynka dotąd za mąż nie wyszła, Może nie wyjdzie wcale. Jest zawsze wesoła i pusta jak bańka mydlana.

A Hania? Cóż stało się z Hanią?

Jest to najmilsza kobieta i najlepsza śpiewaczka w całej Holandyi — odpowie nam doktor Bockman. Najlepsza siostra — dodadzą Janek i Andzia; rodzicom jej oczy błyszczą radością, kiedy o niej mówią, a biedni jednogłośnie chórem ją błogosławia.

Państwo van Gleck serdecznie ją kochają, jako swoją synową, jej mąż utrzymuje, że na całym świecie nie ma miłszej i lepszej żony.

Co zaś do samej Holandyi, wiele rzeczy zmieniło się tutaj w ciągu ostatnich lat dwudziestu; dzi-

wniejszym jest fakt, że wody nie zalały jej dotąd. Miasta w niej wzrosły, niektóre jej osobliwości zniknęły w zetknięciu z innymi narodami; jest to jednak zawsze najdziwniejszy kraj w Europie; życzymy, aby swój charakter długo jeszcze zachował!



Doświadczenie fizyczne.

Możemy założyć się, że gdy zechcemy, to osoba przyjmująca zakład, pozbawiona zostanie możliwości poruszania się z miejsca bez najmniejszego z naszej strony oporu. Polećmy osobie przyjmującej zakład oprzeć się całym bokiem o ścianę tak, żeby dotykała się nogą, korpusem, a nawet policzkiem. Teraz niech osoba ta spróbuje zrobić choć krok jeden. Będzie to rzeczą niemożliwą, gdyż chcąc się ruszyć z miejsca, opieramy się całym ciężarem na jednej nodze, a drugą wystawiamy naprzód. W danym wypadku nie można oprzeć ciężaru na nodze wolnej, gdyż trzebaby się odsunąć od ściany wbrew warunkom umowy.

ZE ŚWIATA.

Śmierć Krügera. W Clarence, w Szwajcaryi zmarł 14 lipca były prezydent Transwaalu, Paweł Krüger (wujaszek Paweł), który odegrał piękną i ważną rolę w dziejach swojej ojczyzny. Urodzony w r. 1825, w angielskim kraju Przylądkowym, wywędrował z niezadowolonymi Boerami do Natalu, następnie do Oranji, stamtąd wreszcie do Transwaalu i tutaj zjednał sobie walecznością i roztropnością w utworzonej przez Pretorjusa w roku 1852 niezawisłej rzeczypospolitej powszechny szacunek, który wyniósł go wkrótce na naczelne w kraju stanowisko. Kiedy skutkiem zaboru rzeczypospolitej przez Anglię (1877 r.) niezadowolone Boerów wyraziło się wojną narodową, Krüger powołany był na głównego wodza i pod nim stoczono owe bohaterskie walki nad Ingogo (8 lutego 1881 r.)

i na górze Majuba (27 lutego), w których Anglicy ponieśli tak ciężkie klęski.

W r. 1883 został Krüger prezydentem republiki, w latach 1888 i 1893 wybór jego ponowiono. Cały swój żywot spędził w walce, bądź to politycznej, bądź zbrojnej z Anglią, która położyła wreszcie kres jego rządowi i jego ojczyźnie.

Portret znakomitego męża i wiele szczegółów z jego życia podaliśmy w „Listach Janka Ż. z Transwaalu, drukowanych w „Wieczorach” w 1899 i 1900 r.

Zwłoki Krügera będą przewiezione do Transwaalu, na co zgodził się już rząd angielski.

Olga Boznańska. Rodaczka nasza, Olga Boznańska, artystka-malarka zamieszkała obecnie w Paryżu, dostąpiła wielkiego zaszczytu, który nader rzadko spotyka we Francji cudzoziemców. Jeden z jej obrazów (portret) zakupił rząd dla Muzeum narodowego sztuki, mieszczącego się w pałacu Luksemburskim i zawierającego najwybitniejsze płótna każdej epoki i szkoły, jest to pierwszy oryginalny obraz polskiego pędzla, który posiada to Muzeum.

ARYTMOGRYF.

ul. Kujawiak z nad Warty.

7
15 22 2
16 14 2 12 2
7 22 2 18 10 9 2
12 23 18 23 10 25 28 24 3
16 8 24 23 4 13 3
20 15 24 3 26
23 3 2
27 22 15 26 2
6 2 14 27 2 18 9
27 2 27 2 8
22 2 27
26 9 22 8 11
24 15 16 20 2 10 11
27 22 2 24 23 29 24 27 23
19 11 23 29 21 27 23
10 23 24 24 2
8 27 8
23

Zamiast liczb podstawić należy głoski w ten sposób, aby utworzyło się 19 wyrazów, których litery środkowe w kierunku pionowym czytane, złożą nazwisko poety polskiego.

Znaczenie wyrazów:

1) Spółgłoska. 2) Okres czasu, od którego liczą się lata. 3) Miasto w gub Płockiej. 4) Państwo europejskie. 5) Bohater z powieści „Quo Vadis.” 6) Metal sztuczny. 7) Stolica Węgier. 8) Imię żeńskie w skróceniu. 9) Wyspa na morzu Śródziemnem. 10) Góry w południowo-wschodniej części Europy. 11)

Napój. 12) Skorupiak. 13) Prowincja Austrii. 14) Miasto w Szwajcarii. 15) Poeta polski. 16) Współczesny poeta polski. 17) Dopływ Dunaju 18) Organ wzroku. 19) Samogłoska.

SZARADA.

ul. Dyabełek.

Żył ongi wierszokleta, musi być wam znany,
Bo w „Panu Tadeuszu” bywa wspomniany,
A jeśli jego miana dotychczas nie wiecie,
To będziecie wiedzieli, zgadłszy *drugie trzecie*;
Z *drugiego i pierwszego* wasz woźnica pali,
Zaś *trzeciego pierwszego* zbrodniarze się bali.
A *wszy-tkie*, o dziadowie nasi używali,
Używszy zaś, potężnie a głośno kichali.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 29-go.

Szarady: Po — rzeczka.

Łamigłówki w trójkącie: 1) Medyolan. 2) Euterpe. 3) Domino. 4) Yeddo. 5) Odra. 6) Lis. 7) Ar. 8) N.

Początkowe litery tych wyrazów składają nazwę miasta we Włoszech: Medyolan.



ułożył Viola Tricoloris.

Gość do służącego. Jak tylko rano zadzwonię, proszę natychmiast przyjść mnie obudzić.

Moja Jakubowo, wystarczy nam też węgla jeszcze na długo?

— O, proszę pana, gdyby nie palić wcale, to jeszcze wystarczyłoby na parę tygodni.

Mamo, mysz wpadła do garnka z mlekiem!

Wyjęłaś ją?

Nie, ale wrzuciłam tam kota!

Korepetytor geografii wskazuje palcem punkt na mapie, pyta się małego Gucia: A to co jest?

To brudny palec — odpowiada Gucio.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Wystawa powszechna w St. Louis (z ryc.) — Psie pole, powieść Włodzimierza Trampeczyńskiego. — Nasze rośliny uprawne, przez B. Dyakowskiego. — Chęć, potrzeba, wola i mus (bajka). — Wieczorne dzwony, wiersz przez Or-ota. — Srebrne łyżwy, przekład A. M. (dokończenie). — Doświadczenie fizyczne (z ryc.) — Ze świata — Łamigłówki i rozwiązania. —

Dodatek: Co lepsze? wiersz p. A. L. (z ryc.) — Jaś gospodynią, komedyjka w dwóch odstępach. — Dary, przekł. M. G. — Łamigłówki rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Sewerka, powieść przez W. Marrene-Morzowską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 18 Юля 1904 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balinska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.



Co lepsze?

Znam dziewczynkę i chłopczyka :

Ona — Zosia, a on Stach.

On wciąż psoci, krzyozy, bryka,
Ona sprzecza się, aż strach!

Kiedy ujrzy Staś u Zosi
W piątce słodkich wisien sześć
I o jedną ją poprosi, —
Chciałby, jedną tylko zjeść :

— Nie dam! — woła zaraz Zosia :

— Wiśnie moje! ruszaj precz! —

Przynies sobie, da gosposia!

Czyż chwalebna jest to rzecz ?

To znów Zosia prosi brata,
By pożyczyl piłkę jej;
Lecz on kpi z niej, figle płata:
— Nie dam piłki! Swoją miej! —

Gdy więc bawią się w ogrodzie :

Ona sama, on też sam!

Czyż niezgoda dzisiaj w modzie?...
Bo ja inne dzieci znam...

Patrzcie! Tutaj, na rycinie,
Śród tych dwojga jakież ład!
Z oczu im wesołość płynie,
Dziewczę zgodne, chłopczyk rad.



Słychać śpiewy ich w około;
Gwar, zabawa, życie, ruch!
Jasne oko, jasne czoło —
I pogoda w sercach dwóch!

A. I.

Jaś gospodynią.

Komedyjka w dwóch odsłonach.

(Dalszy ciąg)

Scena III.

Jaś, Marynia.

Marynia. Jeżeli myślisz, żeś mnie bardzo uszczęśliwił tem jutrzejszem gospodarstwem, to się mylisz. Niewiedzieć po co się tego za mnie naparłeś! Ja wcale nie mam ochoty dreptać cały dzień między piwnicą a spiżarnią.

Jaś. A ty, jeżeli myślisz, że ja pozwolę tobie

gospodarować, to się także mylisz. Przy cioci nie wypadało mi tego mówić — zresztą zarazby robiła jakieś trudności — ale na jutro, ja obejmuję rządy i kluczyki.

Marynia (śmieje się). Ty? cha, cha, cha! to wyborne.

Jaś (poważnie). Właśnie, przekonam cię, że będzie wybornie. Tylko mi nie zepsuj sprawy, i nie zdradź wszystkiego zawczasu przed ciocią, albo jeszcze gorzej przed Teofilem.

Marynia. Nie powiem ani słówka, bo jestem ciekawa, jak ci to pójdzie. — Ale wiesz, w takim razie ja umyвам ręce — do niczego wdawać się nie będę.

Jaś. Nawet bym ci nie pozwolił.

Marynia. A jeżeli Teofila, dowiedziawszy się, kto gospodaruje, zechce ci klucze odebrać?

Jaś (*z godnością*). Jaktó: „zechce” — przecież dzisiaj chyba już nie jest moją niańką, tak, jak przed dziesięciu laty. Zresztą, bądź spokojna, że ja sobie ze wszystkimi dam radę — skończyłem drugą klasę!

Marynia. I to z poprawką! Ale mniejsza o to — to do rzeczy nie należy. — No, więc jutro wielki dzień: gościnny występ Jasia w roli gospodyni! (*Zuśłona spada*).

Odsłona II.

Scena I.

Jaś, Marynia.

Marynia (*do wchodzącego Jasia*). No, przecież się zjawieś! Jeszcze chwila, a byłabym sama zadysponowała i wydała obiad. Któż widział spać tak długo, gdy się chce być gospodynią. Cały ład w domu psuje się.

Jaś. Ależ! nie turbuj się — będzie jeszcze aż nadto czasu na wszystko. W racjonalnem gospodarstwie mema żadnej potrzeby zrywać się razem z kurami. To są wszystko przesady.

Marynia. Tylko proszę cię, wyrażaj się grzeczniej, bo inaczej nie oddam ci kluczyków (*chowa za siebie koszyk z kluczykami*).

Jaś (*prosząco*). Ale oddaj, oddaj — moja Maryneczko! Bardzo przepraszam, że obraziłem twój honor, choć właściwie nie powinnaś się czuć dotkniętą tą uwagą, bo ty przecież zawsze śpisz do dziewiątej. (*śmieje się*).

Marynia (*śmiejąc się*). To prawda — ale tylko na wakacyach. No, wręczam ci oznaki twojej władzy i życzę, aby twoje jednodniowe rządy pozostawiły nam wszystkim jak najmiłsze wspomnienie. (*z wroczystym ukłonem wręcza mu koszyczek z kluczykami*).

Jaś (*bierze koszyk również z ukłonem*). Dziękuję i mam nadzieję, że odpowiem godnie położonemu we mnie zaufaniu.

Marynia. Ale czy potrafisz rozpoznać, który klucz do którego zamku?

Jaś (*wzruszając ramionami*). Moja Maryniu, jeszcze bym się takimi rzeczami kłopotał! Przecież uczyłem się i rysunku i slójdu i... wielu innych rzeczy, o których ty nie masz nawet wyobrażenia. Tylko okiem rzucę, a poznam, jakiego systemu jest zamek i który się do niego klucz nadaje.

Marynia (*z podziwem*). Doprawdy?

Jaś. Ma się rozumieć. Tylko wpierv muszę to wszystko obliczyć i podzielić na kategorie.

Marynia. One są już podzielone. Ot, widzisz, na tem kółeczku do wszystkich szaf w jadalnym pokoju — tu do obu spiżarni — tu od strychu i lamusa...

Jaś (*wzgardliwie*). Ah, taki podział! któżby to spamiętał — ja sobie to całkiem inaczej podzielię. Tu będą same kluczyki francuskie (*zdejmuje i przekłada kluczyki z kółka na kółko*), tu znów; te od prostych kłód

Marynia. Ależ Jasiu, ciocia będzie może niekontenta, gdy jej wszystko pomieśszasz.

Jaś. Ha, niech będzie niekontenta, ja na to nie poradzę — jakiś porządek zaprowadzić muszę. Przedewszystkiem zabierz sobie ten koszyk, bo ja się z nim przecież nie będę nosił po całym domu. (*wysypuje kluczyki na stół i oddaje Maryni koszyczek*).

Marynia. A jak ci się kluczyki pogubią?

Jaś. Co? — to tylko wy kobiety ciągle coś gubicie. Mężczyźni mają w swoim rozporządzeniu pieniądze, akta, najważniejsze papiery, od których nieraz losy narodów i państw zależą, a nic im nie ginie. Trzeba tylko umieć wszystkiemu z góry zapobiedz.

Marynia. Ciekawam bardzo, jak zapobiegiesz, kiedyś mi nawet koszyczek oddał.

Jaś. Na wszystko jest sposób (*potrząsa klucze w ręku*). Primo: te dwadzieścia siedm kółek i kółeczek z kluczykami sprowadzi się do jednego mianownika (*wydobywa z kieszeni wążki rzemyczek i nawłcka na niego kółka kluczyków*), secundo: wszystko razem uwiąże się do łańcuszka od zegarka — i jest spokój, (*umocowuje kluczyki*). No, a teraz radźmy o obiedzie, bo czuję szalony apetyt.

Marynia. Ciocia coś wspominała, żeby dać rosół z kaszką, sztukamięsz z ogórkami, kalafiory i pierożki z serem, bo Kasia nic innego nie potrafi sama dobrze zrobić.

Jaś. Jeszcze czego! Miałbym jeść taki obiad na własnem gospodarstwie. Choć raz, za całe wakacye, zjemy coś porządnego. Dajno mi prędko książkę.

Marynia (*bierze z półki i podaje mu książkę*). Oto jest, ale trzebaby się dopiero przekonać, co mamy w spiżarni, żeby się do tego zastosować.

Jaś. Moja Maryniu, już mnie nie ucz, obiecałaś, że się do niczego wtrącać nie będziesz. Ma się rozumieć, że skoro kupione jest mięso, to nie zadyponuję ryby — ale przecież artykuły żywności można rozmaicie zużytkować.

Marynia. Tak, zapewne.

Jaś. Z mąki można tak samo zrobić pierogi jak... andruty, albo... te czarne ciastka... wiesz, te z kremem...

Marynia. Pewnie myślisz o „czekoladkowych murzynkach”?

Jaś. Otóż właśnie — murzynki — no, i blamanż pewnie także... (*z niepewnością*). Przecie blamanż, to się chyba z mąki robi.

Marynia (*uśmiechając się*). Być może.

Jaś. Naturalnie! Przecie nie z mięsa ani z marchwi, bo się daje na leguminę, a leguminy wszystkie z mąki. — Swoją drogą, szkoda, że ciocia na cały miesiąc dała urlop kucharzowi. Nie wiedzieć na co!

Marynia. Był chory, musiał odpocząć, a Kasia wcale nieźle gotuje. Dla nas wystarczy.

Scena II.

Ciż sami, Kasia.

Kasia (*wiejska dziewczyna*). Panienko, proszę prędko do spiżarni, bo trza dla kur pośladu i do ludzkiej

kaszy okrasę, i obiad już trza rychtować, bo prędko będzie południe.

Jaś (*występuje naprzód, z powagą*). To nie panienka, tylko ja dziś gospodaruję, moja Kasiu, i ja będę wszystko wydawał.

Kasia (*z podziwem*). Panicz? a bez co tak?

Jaś (*z naciskiem*). Bez to, że u mnie są klucze i że mi się tak podoba. Najpierw powiedz mi, co to za „ludzka kasza”?

Kasia. A no, ludzka kasza — zwyczajnie kasza, na obiad.

Jaś. Dla nas?

Kasia. Nie — nie dla państwa ino dla ludzi — przecie powiadam, że ludzka.

Jaś (*śmiejąc się*). Ha, ha, ha! doskonała! „nie dla państwa ino dla ludzi”. Powiedz-że nam, cóż my jesteśmy, jak nie ludzie? psy, koty, konie?

Kasia (*obrażona*). Ee, co tam panicz ze mnie drwinkuje; wiadoma rzecz: co ludzie, to ludzie a co państwo, to państwo! Jak panicz ma wydawać, to proszę iść do spiżarni, bo kury głodne, nie będą czekały do południa.

Jaś. Bagatela! kury głodne. Nie będą czekały do południa — a niech nie czekają! niech się obrażą rozlegą po krzakach. Bardzo mnie to zmartwi!

Marynia. Kiedy widzisz, ptactwo zwykle jada o świcie — może im to zaszkodzić.

Kasia. Ja już im raz dzisiaj dawała, proszę panienki — ale taki trzeba drugi raz, bo pomizernieją.

Jaś (*śmiejąc się*). Właśnie, bardzo jestem ciekawy zobaczyć, jak wygląda „mizerna kura” (*poważnie*). U mnie, moja Kasiu, inne porządki — ja nie mogę dzień cały stać przy spiżarni na straży, czy tam jaka kura albo kaczka nie zechce jeść. Jak pójdę wydawać, to wydam wszystko odrazu, na cały dzień — a potem, żeby się świat zawalił, nie pokażę się w spiżarni ani w piwnicy. Zresztą, kurom aż nadto raz na dzień dać porządnie zjeść. I tak się cały dzień grzebią w śmieciach i dzióbią co znajdują.

Kasia. Ojoj! będą tu dopiero nowe porządki, jak drób powyzydycha.

Scena III.

Ciż sami, Michałek.

Michałek (*wbiegając*). Żeby panicz wiedział, co się stało — żrebię wybiegło ze stajni na gumno i Marcin z Józkiem nie mogą złapać.

Jaś (*żywo*). Które, które żrebię?

Michałek. A bułane — ono zawsze takie niesamowite.

Jaś. Jakto, bułane? najpiękniejsze żrebię! jeszcze mu zaszkodzi jak je bardzo zgonią. Chodź prędko ze mną; my we dwóch złapiemy. Weź kawałek chleba.

Michałek. E, ono tam jeszcze chleba nie rozumie. (*wybiegają*).

Marynia (*biegnąc za Jasiem*). Jasiu, Jasiu! zstawże mi klucze, bo naprawdę obiad dziś o czwartej będzie — ślicznie gospodarujesz!

Scena IV.

Marynia, Kasia, później Feliś i Zochna.

Marynia (*wraca bez kluczy*). Poszedł, ani się odwrócił na moje wołanie. Żal mi, że się zgodziłam na tę niemądrą próbę.

Kasia. E, bo panienko, to jakoś tak cudacznie, żeby klucze były u panicza. Przecie jest panienka, jest Teofila, to byłoby komu wydać. A paniczowi akurat pasuje stajnia i żrebię, a nie spiżarnia i wydawanie.

Marynia. Prawda — ale tak się jakoś zrobiło. Panicz prosił, że chce spróbować...

(*Zochna i Feliś wchodzi w kapeluszach i okryciach, Kasia widząc ich, wychodzi*)

Marynia (*z radością*). Feliś! Zochna! jak się macie? skądżeście się tu wzięli?

Zochna. Odwziliśmy na kolej p. Michalinę, która na jeden dzień pojechała do Lublina i mama pozwoliła nam cały ten dzień u was spędzić.

Feliś. Wieczorem p. Michalina powracając z kolei wstąpi tutaj i zabierze nas do domu.

Marynia. Ślicznie! to i nasza ciocia pojechała na dziś do Lublina.

(*d. c. n.*)

D A R Y .

przełożyła z angielskiego
M. G.

(Dalszy ciąg).

Nie wiem; jest to coś — coś takiego — jakaś zmiana w nim całym — odpowiedział z niewinną miną Cyryl. Jest wtedy zupełnie niepodobny do siebie — nie poznalibyście go. Rzeczywiście bardzo jest dziwny! I mogłoby się stać co złego, gdyby go nie zostawić wtenczas w samotności...

I to było zupełną prawdą.

— Ale oprzytomnieje wieczorem, co?

— O! tak — w pół godziny po zachodzie będzie taki jak zawsze.

— To lepiej mu dogodzić — odezwała się kobieta.

W taki sposób, jak powiedział Cyryl, na pół godziny przed zachodem słońca namiot został zamknięty, ponieważ:

„*Olbrzym je wiozszę.*”

Tłum śmiał się z tak częstych posiłków wielkoluda.

— Niech tam sobie trochę dziobnie — mówił Bill. — Rozumiecie, że musi zjeść porządnie, taki kawał chłopca...

W naniocie dzieci bez tchu prawie układały plan ucieczki.

— Idźcie wy naprzód — mówił Cyryl do dziewczyn — i biegnijcie do domu, jak można najprędzej. O! mniejsza o ten przeklęty wózek, sprowadźmy go jutro! Robert i ja mamy takie same ubrania. Tylko wy, dziewczęta, musicie odejść, bo bez tego

nie się nie uda. My możemy biedz, ale wy nie nadżycie — choć wam się zdaje, że możecie. Nie, Kiziu, na nieby się nie zdało, gdyby Robert poroztrącał ludzi. Policya gonilaby go, dopóki nie wrócił do dawnej postaci, a wtedy uwięziliby go jak oszusta. Idźcie! trzeba koniecznie iść... Jeżeli nie odejdziecie, nie chcę was znać od dziś! Wyście nawarzyły tego piwa, czepiając się człowiekowi u nóg i rąk dziś rano... Idźcie! mówię wam jeszcze raz!...

Kizia i Antea odeszły.

— Wracamy do domu — powiedziały Billowi. — Zostawiamy olbrzyma u was. Bądźcie dla niego dobrzy.

Było to, jak Antea przyznała później, bardzo podstępnie, ale co innego można było zrobić?

Po odejściu dziewczynek Cyryl przyszedł do Billa.

— Słuchajcie — zaczął. — Olbrzym potrzebuje kilku kłosów: zboże jest tam w polu. Pobiegnę po nie i przyniosę. A on prosi, żebyście trochę uchylili tylną ścianę namiotu. Powiada, że się dusi, tak mu gorąco. Ja będę pilnował, żeby tam nikt nie zaglądał. Nakryję go i przedrzemie się przez ten czas, jak ja pójdę po kłosa. Potrzebuje ich *koniecznie*: nie można mu niczego odmawiać jak się uprze...

Olbrzymowi zrobiono wygodne posłanie ze stołu worków. Uniesiono w górę zastonę i bracia zostali sami. Układali szeptem plan działania. Na placu poza namiotem skrzypiały wesoło karuzele. W pół minuty po zachodzie słońca chłopiec w kratkowanym ubraniu przeszedł koło Billa.

— Idę po kłosa — powiedział — i zniknął wśród tłumu.

W tej samej chwili taki sam chłopiec wyszedł z drugiej strony namiotu i minął Bekkę, stojącą tam na straży.

— Idę po kłosa — powiedział i ten chłopiec.

I on także odszedł spokojnie i zmieszał się z tłumem. Z frontu wyszedł Cyryl — tylnem wyjściem Robert — teraz, po zachodzie słońca, w dawnej postaci. Minęli szybko pole i poszli na gościniec, gdzie Robert dogonił Cyryla. Wtedy zaczęli biedz. Dobiegli do domu prawie razem z dziewczynkami, bo droga była długa, a większą jej część przebyli biegnąc. Była to rzeczywiście *bardzo* długa droga, jak się o tem przekonali nazajutrz rano, kiedy musieli iść po wózek i ciągnąć go do domu bez olbrzymiego Roberta w zaprzęgu.

Nie mogę wam powtórzyć, co powiedzieli Bill i Bekka zobaczywszy, że olbrzym uciekł... Upewniam was, że sam tego nie wiem.

S Z A R A D A.

z Maryampola nad Dn.

W *pierwszej* jeśli kreseczkę dodacie, Imię chłopczyka wnet otrzymacie. — *Drugie z trzecim*, rzeczy użyteczne, Mianowicie w zegarku konieczne. *Wszystko* to ptaszyna, dobrze znana, Przez nas ceniona i kochana...

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

ul. Zośka z Warszawy.

W poniżej zamieszczonym układzie liter tak należy je poprzestawiać, aby środkowe głoski wyrazów, czytane w pionowym kierunku z góry na dół, składały nazwisko znakomitego malarza polskiego, żyjącego w XIX wieku.

```

a
a a a
e e e g i
j j k k k l m
m o o r s
t t t
z

```

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Ciało lotne. 3) Przedstawiciel jednej z narodowości mahometańskiego wyznania. 4) Nazwisko znakomitego malarza XIX wieku. 5) Naczynie do przelewania płynów. 6) Gatunek łyżew, używanych w północnych krajach. 7) Samogłoska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 29-go.

Zagadek wprost i wspak: 1) Metal — latem. 2) Żółw — wół. 3) Wał — ław.

Zadania na rozsypane litery:

Choćby cię smażono i pieczono w smole
Nie nie mów nikomu co się dzieje w szkole.



Odpowiedzi Redakcyi.

Lili z nad Warty, Świteziance i Bystremu Sokółowi odpowiadamy, że na listy Jaskółka odpisze dopiero po powrocie z wakacji.

Przemkowi i Dziuni z Bystrzycy dziękujemy za nadesłane marki.

Bławatkowi. Ani żarcik, ani łamigłówka nie nadają się do druku.

Zadania i łamigłówki nadesłane przez **Lilię z nad Warty** i **Józefa Aleksandrowicza** po wprowadzeniu pewnych poprawek będą drukowane.

K. Biernackiemu. Zadanie twoje mogłoby być umieszczone, gdyby rysunek staranniej był zrobiony.

Mazurovi z nad Wisły. Arytmogryf historyczny dobry w pomysłach ale niestety słaby w wykonaniu. Nie umiemy.

Trafne rozwiązania zadań z ostatnich numerów przysłali następujący czytelnicy i czytelniczki: K. Biernacki, Mazur z nad Wisły, Łobuziak z Ogrodowej, Kazia z Ojeowa, Mania Krzywnicka.

Wymiana kart pocztowych.

(Za pozwoleniem rodziców lub opiekunów.)

Kazimierz Biernacki (Łęczycza, gub. Kaliska u p. Morowskiego) pragnie korespondować z Warszawskim Figlarzem, Pędziwiatrem, Jankiem Wywijankiem i Orłem B.

OFIARY:

Na Kolonje Letnie: Zebrane w Carycynie nad Wołgą rub. 5.